

Anioły nad Warszawą

Prapremiera „Aniołów w Ameryce” Tony’ego Kushnera w TR Warszawa.
To najbardziej polityczne przedstawienie Krzysztofa Warlikowskiego

SPEKTAKL

TONY KUSHNER

„ANIOŁY W AMERYCE”

REŻYSERIA KRZYSZTOF WARLIKOWSKI

przekład Jacek Poniedziałek,

scen. Małgorzata Szczęśniak,

muz. Paweł Mykietyn, prapremiera

17 lutego 2007 w auli SGGW

w Warszawie

TR Warszawa

ROMAN PAWŁOWSKI

Dobrze się stało, że głośny dramat Tony’ego Kushnera z 1991 roku dopiero teraz wchodzi na polską scenę. Jeszcze pięć lat temu ta „gejowska fantazja na motywach narodowych” byłaby w Polsce sztuką w dużej mierze abstrakcyjną, dzisiaj trafia boleśnie w naszą rzeczywistość. I nie chodzi bynajmniej o strach przed AIDS, który wrócił wraz ze sprawą Kameruńczyka podejrzanego o zarażanie partnerów wirusem HIV. Syndrom AIDS jest dzisiaj bardziej oswojony niż w latach 80. Lek AZT, o którym bohaterowie sztuki, zarażeni wirusem HIV geje z Nowego Jorku, mogli tylko marzyć, dzisiaj przedłuża życie tysiącom ludzi w Ameryce i Europie.

Tym, czego zachodni świat boi się dzisiaj bardziej niż epidemii jest ideologiczna ekspansja nowej prawicy, która w imię ochrony bezpieczeństwa obywateli przed terroryzmem i innymi zagrożeniami ogranicza podstawowe wolności i psuje demokrację. Kushner oczywiście nie przewidział ani Abu Ghraib, ani Guantanamo, gdzie bez wyroku więzi się podejrzanych o terroryzm, poddając ich wyszukany torturom psychicznym i seksualnym prowokacjom. Opisał za to przenikliwe psychologiczny mechanizm tłumienia i wypierania oraz podwój-



Jak zwykle u Warlikowskiego aktorstwo jest najsilniejszą stroną przedstawienia.
Na zdjęciu: Maciej Stuhr i Maja Ostaszewska

nej moralności, który często stoi za takimi praktykami.

Możemy go poznać, śledząc losy dwóch bohaterów - konserwatystów, którzy są ukrytymi homoseksualistami: młodego prawnika Joego, rozpoczynającego karierę w Waszyngtonie,

i jego mentora Roya Cohna. Ten ostatni to postać autentyczna - zmarły w 1986 roku republikański prawnik wsławiony udziałem w tropieniu komunistów w komisji McCarthy’ego. Dla obu twar- da ideologia narodowa jest ucieczką przed ich własną rozbieraną tożsamo-

ścią, o ile jednak Joe zmagą się z poczuciem winy, o tyle Roy do końca prowadzi cyniczne, podwójne życie. Gardzi homoseksualistami („Zapamiętaj - mówi do lekarza - nie jestem homoseksualistą, tylko zabawiam się z chłopcami”), a kiedy okazuje się, że ma AIDS, upiera się, że to rak wątroby.

I właśnie postać Roya Cohna, którego gra Andrzej Chyra, jest wydarzeniem tego wieczoru i jedną z największych kreacji aktorskich, jakie powstały w ostatnich latach w polskim teatrze. Jeżeli diabeł istnieje, to wygląda, porusza się, mówi jak Chyra w tej roli. Piekielna inteligencja spotyka się tu ze skrajnym cynizmem, napady wściekłości kryje lubieżny uśmiech, przebiegłość i siła idą w parze z emocjonalną pustką i samotnością. To portret wszystkich ludzi władzy, którzy w imię obrony świata przed obcymi: terrorystami, gejami, komunistami, Żydami, manipulują prawem i sieją strach, wmawiając jednocześnie społeczeństwu, że są posłańcami prawdy.

Genialność tej roli nie polega tylko na pokazaniu wcielenego zła, to byłoby zbyt proste. Chyra pokazuje upadek człowieka, który był bogiem. Kiedy widzimy go po raz pierwszy rozpartego na fotelu z trzema komórkami w ręku, wydającego rozkazy i miotającego przekleństwami, nie spodziewamy się, że osiem aktów i sześć godzin później ten sam człowiek będzie się kulić z bólu i nie zdola sam sobie podnieść spodni w toalecie. Jednak nawet w obliczu śmierci nie przestaje rządzić: w finale umiera z wycelowanym w niebo palcem, jakby chciał zatrzymać samą śmierć.

„Anioły w Ameryce” to najbardziej polityczne z przedstawień Warlikowskiego, chociaż o polityce nie mówi wprost. Reżyser pokazuje jej destrukcyjny wpływ na relacje między ludźmi: słowem tabu jest tu homoseksualizm, bohaterowie wahają się za każdym razem, kiedy mają je wypowiedzieć, jakby parzyło w usta. Tabu przełamuje do-

piero Joe (Maciej Stuhr), który w telefonicznej rozmowie z matką krzyczy z całych sił: „Jestem homoseksualistą”, podczas gdy po drugiej stronie zapada kłopotliwe milczenie.

Warlikowski wydobywa ze sztuki Kushnera temat samotności człowieka Zachodu, który w chwili próby, jaką jest śmiertelna choroba, nie znajduje oparcia ani w dotkniętej kryzysem rodzinie, ani w religii, która zmieniła się w pusty rytuał. Bohaterowie nie mają komu opowiedzieć o swoich problemach, nikt ich nie chce słuchać. Ulgi nie przynoszą spotkania grup terapeutycznych ani publiczne zwierzenia przez mikrofon przypominające telewizyjny talk show. Tłumione pragnienia, zablokowana psychika, brak kontaktu z drugim człowiekiem to cechy świata, jaki wylania się z tej inscenizacji.

Samotność bohaterów podkreśla przestrzenna scenografia Małgorzaty Szczęśniak, w której szpital przenika się z salą konferencyjną i domem pogrzebowym. W tej przestrzeni pomiędzy szpitalnym łóżkiem, mównicą a trumną człowiek jest wszędzie obcy.

Maciej Stuhr jako Joe rozbiera się do naga przed partnerem, jakby chciał podkreślić swoją bezbronność, Maja Ostaszewska w roli jego neurotycznej żony zachowuje się jak skarcone dziecko, które staje na baczność przed rodzicem. Tomasz Tyndyk grający chorego na AIDS Priora żebrze rozpaczliwie o uczucie, którego nie chce mu ofiarować jego partner Louis (Jacek Poniedziałek). Wszyscy sprawiają wrażenie, jakby byli chorzy na „nabyty syndrom braku odporności” - nie na bakterie jednak, ale na życie. Do ich aktorstwa pasuje określenie jednej z bohaterek, która mówi o sobie, że jest jak planeta pozbawiona warstwy ozonowej.

Jak zwykle u Warlikowskiego aktorstwo jest najsilniejszą stroną przedstawienia: fantastyczne epizody stworzyły Stanisława Celińska jako despotyczna matka Joe’ego i Danuta Stenka jako obdarzony poczuciem humoru duch Ethel Rosenberg, komunistki, którą Roy wysłał na fotel elektryczny. Ale nie jest to pusty popis sprawności warsztatowej. Mam wrażenie, że aktorzy Warlikowskiego mówią do nas we własnym imieniu, że świat, który pokazują, podsztyt podłością i kłamstwem, zawładnięty przez polityków, to także ich świat. I tak jak bohaterowie Kushnera pragną go z całych sił zmienić. Przynajmniej w teatrze. ●